ROK III. STYCZEŃ 1930 1931 NR. 1

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

W obronie zabytków historycznych

Jesteśmy świadkami scen i czynności czasem dosyć sprzecznych i nielogicznych, jakie się dzieją w naszem ustawodawstwie. Do takich zaliczam prawie wszystkie ustawy i rozporządzenia mówiące o herbach i godłach czy to państwowych, czy terytorjalnych, miejskich czy prywatnych.

Nie ulega wątpliwości, że herb jakiegokolwiek rodzaju jest zabytkiem historycznym i możemy zgodzić się z tem, że w dzisiejszych demokratycznych czasach winien być jedynie jako zabytek traktowany, chociaż jak później wykażę, nie zawsze to jest możliwem. Dlatego było to wielkiem nieporozumieniem, gdy na początku naszego nowego życia państwowego sejm konstytucyjny jedną szybko powziętą, a nieprzemyślaną uchwałą skasował wszystkie herby. Tymczasem jest to rzecz nie do skasowania. Można znieść przywileje herbowe, chociaż takich już w XIV wieku nie było, ale nie można znieść samego herbu, bo taki istnieje w literaturze, w zabytkach, w dziełach sztuki, a przedewszystkiem w tradycji u swoich właścicieli. Jak było do przewidzenia, ustawa powyższa nie miała w praktyce żadnego znaczenia. Nikt nie porzucił swego rodowego herbu, bo nikt go rzucić nie był w stanie, natomiast przeciwnie, wielu, którzy dotąd tego nie robili, przywdziało sygnety rodzinne, i nikt im tego nie mógł zabronić.

Ale i państwo samo zaczęto powoli schodzić ze swego ekskluzywnego stanowiska. Oto pokazało się, że samo bez herbu obejść się nie może, że ten herb jest mu potrzebny: do pieczęci państwowych, do sztandarów wojskowych, bandery morskiej, szyldów urzędowych etc. Wskutek tego przeświadczenia ukazała się w 1921 ustawa o godłach i barwach Rzeczypospolitej Polskiej wprowadzająca z powrotem orła białego w życie jako herbu państwowego.

W artykule II tejże ustawy czytamy, że używanie przez instytucje niepaństwowe i osoby prywatne bez zezwolenia ministra godeł, chorągwi, i bander państwowych jest wzbronione.

Tymczasem nie tylko państwo, ale wszystkie prawie związki komunalne nie potrafiły pozbyć się swoich godeł i prawdę mówiąc, nie próbowały tego nigdy. Były między niemi miasta i gminy, które używały ciągle jeszcze herbu w czasach królewskich ustalonego, były i takie, co zapomniawszy o tym właś-

nym herbie, wzięły sobie za godło herb państwowy, orła austrjackiego lub rosyjskiego, a potem od 1919 r. orła polskiego. Ustawa zabroniła wprawdzie jego używania, ale w praktyce cóż było robić? Nie wypadało przecież, by szanujące się miasto miało na pieczęci sam tylko napis. Ta potrzeba i konieczność jakichś godeł zaistniała zwłaszcza w miasteczkach od samego początku i zmuszała do ustawowego uregulowania.

I oto dnia 13 grudnia 1927 r. ukazuje się rozporządzenie, które znowu jest dalszem zaprzeczeniem ustawy konstytucyjnej, gdyż sankcjonuje niejako herby samorządowe. Jest jednakże znów nieprzemyślane i nielogiczne. Oto dla władz i urzędów samorządowych ustanawia się oznaki złożone z herbu państwowego, z herbu województwa, do którego należą, i napisu, odpowiadającego ich nazwie. Przez władze i urzędy samorządowe rozumiane są tu widocznie władze powiatowe, gdyż o miastach jest mowa osobno. Otóż dla tych powiatów wprowadza to rozporządzenie zupełnie nowe herby, jakich nigdy dawniej nie było. Za czasów królewskich bowiem miały swe herby ziemie i województwa, ale nie powiaty. Utworzone teraz herby powiatowe, skomponowane są jednak zupełnie na modłę rosyjską i przypominają ukazy carskie z 1781 i 1796 regulujące herby miast okupowanych prowincyj w ten sposób, że każdemu przepisano tarczę 2 polową z herbem miasta gubernialnego u góry, i herbem własnym u dołu. Nasza ustawa z 1927 wprowadza do herbów powiatowych tę rosyjską kompozycję, tylko że je tworzy z niczego. I tu jest największe nieporozumienie. Oto herbów wojewódzkich niema, nie istnieją.

Województwa dzisiejsze, a województwa z czasów królewskich, to jednostki terytorjalne zupełnie różne. Wyjątkowo, jak Wołyń, województwo nowe pokrywa się z dawnem, zwykle jego granice są obszerniejsze i obejmują terytorja o rozmaitych starych godłach herbowych. Herby nowych województw należałoby dopiero stworzyć i ustalić, a potem dopiero używać je za podstawę do tworzenia innych herbów. Dotychczas jednak herby województw nie są ustawowo uregulowane.

To samo rozporządzenie z 13. XII. 1927 mówi także o herbach miejskich, a więc o dziedzinie heraldycznej bardzo dużego zakresu. Herby te znowu są zupełnie mylnie zrozumiane i planowane. Oto w myśl tego rozporządzenia winny się składać z herbu państwowego, herbu wojewódzkiego i napisu, podobnie jak powiaty, ale mogą w miejsce herbu wojewódzkiego mieć swój własny historyczny.

Należy przyznać, że żadna chyba ustawa nie wykazuje tyle nieporozumień i sprzeczności, co właśnie ta omawiana. Nie chce się wierzyć, że przeszła przez alembik prawniczy. Mówi bowiem o herbach wojewódzkich, które właściwie nie istnieją, mówi o używaniu orła państwowego, którego używanie inna ustawa z 1920 zabroniła i wprowadza do herbu napisy, które nigdy do herbów

nie należały. Pozatem zmienia jednym zamachem wszystkie dotychczasowe herby miejskie, z których wiele ma 600 letnią za sobą tradycję i prawne podstawy. Rozporządzenie zdaje się wychodzić z założenia, że miasta z małymi wyjątkami, dotąd własnych herbów nie posiadały, założenie, jak wiadomo, zupełnie fałszywe.

W myśl tego samego rozporządzenia miastom, odznaczonym orderem, nadaje herby Prezydent Rzplitej. Znowu nieporozumienie, gdyż nie było wypadku, aby udekorowane miasto herbu własnego jeszcze nie miało lub nowego herbu pożądało. N. p. Lwów, orderem Virtuti militari ozdobiony, ma herb XIV wieku sięgający i chyba zupełnie nie pragnie jego zmiany.

W tem samem rozporządzeniu z 1927 r. czytamy, że herby innych (?) miast zatwierdza według własnego uznania minister Spraw Wewn. na wniosek magistratu i rady miejskiej po porozumieniu z ministrem oświaty. Może to się odnosić chyba tylko do gmin, które w ostatnich dopiero latach stały się miastami n. p. Gdynia i widziały się zmuszone jakąś odznakę, godło czy herb u siebie przyjąć i wprowadzić. Wątpię jednak czy może się to odnosić do takich miast jak Warszawa, Kraków, Poznań etc. gdzie o jakiejkolwiek zmianie uwięconego już prawie herbu nie może być chyba mowy. Ale zapytajmy przytem, gdzie się podziała ustawa o zniesieniu herbów polskich? Czyżby ona dotyczyła tylko herbów rodowych?

To samo rozporządzenie zawiera dalsze jeszcze rozszerzenie prawa herbowego na związki samorządu gospodarczego i zawodowego oraz inne korporacje prawno-publiczne, czyli na mniejwięcej takie związki, jakie dawniej cechami zwano. Herby ich zatwierdza właściwy minister w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych. Ale znów zapytać należy, jakie herby: czy wszystkie, czy tylko nowo tworzone? Po rozmaitych bowiem miastach istnieją do dziś dnia cechy i stowarzyszenia, używające odwiecznych godeł (cechy rzeźników, krawców, złotników etc.). Czy i te godła zatwierdzenia wymagają?

Wobec tego rodzaju niedokładności, niedomówień i nieporozumień, nie było nic dziwnego, że dekret z 13. XII. 1927 spotkał się z ogólną niechęcią i właściwie nie wszedł w życie. Powiaty nie sprawiły sobie nowych pieczęci, choćby dlatego, że nie wiedziały, jak właściwie herb wojewódzki ma wyglądać. Miasta nie mogły zrozumieć, że to, co wieki uświęciły, ma dziś ulec dopiero zatwierdzeniu i zmianie. Żadne też z mast nie zmieniły swego herbu i nie umieściło, jak dekret nakazywał, orła państwowego w jego pierwszem polu. Co więcej, w takim Krakowie, gdzie tradycja i kult zabytków żyje i działa najsilniej, przyszło nawet do protestu. Oto na Walnem Zgromadzeniu Towarzystwa Miłośników Krakowa 20. V. 1929, po wyczerpującem omówieniu powyższego dekretu, uchwalono wezwać zarządy wszystkich większych miast Rzpltej.,aby zwróciły się do Rządu z prośbą o uchylenie tego dekretu, a zwła-

szcza jego artykułów 19 i 4 jako godzących w tradycje historyczne miast polskich.

Ponieważ dekret wprowadza swoje zmiany w ostatecznym terminie do dnia 28 marca 1930 przeto już teraz należy się postarać o znowelizowanie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej w tym kierunku, by na pieczęciach miejskich znajdował się jedynie tylko herb miejski. Przepis zaś o oznace miejskiej w art. 4, która ma się składać z herbu państwowego i wojewódzkiego, ale może mieć w miejsce wojewódzkiego herb swój własny historycznie uzasadniony, należy znieść zupełnie, jako nie mający najmniejszego znaczenia prawno-heraldycznego.

Rezolucja krakowska wskazuje na to, że herby miejskie, a specjalnie herb m. Krakowa stanowi od r. 1281 bardzo cenny klejnot tego miasta i jako taki zmieniany być nie może i że umieszczenie obok niego herbu państwowego odebrało by mu cechę samorządności. Rezolucja podkreśla, że herb państwowy winien ze względów zasadniczych przysługiwać tylko władzom i urzędom państwowym, że herby miejskie winny być umieszczone na wszystkich pieczęciach miejskich bez względu na sposób i datę powstania tych herbów, że jeszcze naleciałości heraldyczne wynikłe czy nadane przez rządy zaborcze winne być z herbów usunięte przez naukowe ich zbadanie, że wreszcie wszystkie miasta winne się postarać o wznowienie swego herbu historycznego, o ile go jeszcze nie używają. Te zaś miasta i gminy wiejskie, które herbów jeszcze żadnych nie posiadają, winne na właściwej drodze postarać się o nadanie czy zatwierdzenie przedstawionego herbu.

Nie wiemy czy z innych stron, z poza Krakowa wyszły również podobne rezolucje pod adresem Rządu. W każdym razie termin 28. III. 1930 r. przeszedł bez żadnej zmiany w tym kierunku. Widocznie jednak memorjał krakowski, a może i inne przedstawienia, zrobiły swoje, skoro dnia 1. XII. 1930 ukazało się nowe rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej, zmieniające w niektórych punktach dekret poprzedni.

Z góry jednak zaznaczyć należy, że i ten najnowszej daty dekret budzi zupełne rozczarowanie i pełen jest znowu fatalnych nieporozumień. Znowu jest mowa o władzach i urzędach samorządu terytorjalnego, pod któremi nie wiemy co rozumieć, powiaty, gminy miejskie czy wiejskie czy obszary dworskie? Znowu przepisuje się dla nich herb złożony z herbu państwowego i herbu wojewódzkiego, który ciągle jeszcze nie egzystuje. Herby te znów nazywa się odznakami i włącza się do nich napis, tak jakby herb bez napisu istnieć nie mógł. Ten sam art. 4 mówi dalej, że dla zakładów, instytucyj i przedsiębiorstw samorządu terytorjalnego ustanawia się odznaki, złożone z herbu wojewódzkiego i napisu odpowiadającego ich nazwie. Czy te odznaki są równoznaczne z pieczęciami, flagami, szyldami etc. nie wiadomo, jak nie wiadomo, skąd

wziąć ów herb wojewódzki, urzędy bowiem wojewódzkie, jako urzędy państwowe, noszą w herbie przecież orła państwowego.

W dalszym ciągu czytamy w tymże dekrecie, że związki samorządu terytorjalnego mogą w odznakach swych władz i urzędów, oraz zakładów, instytucyj i przedsiębiorstw w miejscu, przewidzianem dla herbu wojewódzkiego, umieścić swój własny herb nadany względnie zatwierdzony. Zdanie to jest dla nas zupełnie niezrozumiałe: nie wiemy, czem się różnią związki samorządowe od samorządu, o którym mowa w ustępie poprzednim i dlaczego herb własny może być tylko nadany lub zatwierdzony i przez kogo Warszawa n. p. ma swoją syrenę w herbie, ani nadaną ani zatwierdzoną, zdaje się, przez nikogo; to samo Kraków, Poznań, Lwów etc. i dziś niepodobne już go zmieniać. Jeżeli zaś związki samorządowe oznaczają powiaty, to trudno jest dziś wskazać w Polsce choćby na jeden powiat, któryby posiadał własny herb wogóle, a nie tylko herb nadany, względnie zatwierdzony.

Tenże dekret postanawia dalej, że minister spraw wewn. może w drodze wyjątku zezwolić miastom, posiadającym herb historycznie uzasadniony, na używanie w swych odznakach zamiast herbu wojewódzkiego, wyłącznie herbu miejskiego. I tu znowu szreg nieporozumień. Przedewszystkiem herby nie posiadają zwykle uzasadnienia, one mają za to historyczną tradycję. Syrena nie jest dla Warszawy specjalnie uzasadniona, ale ona jest historyczną dla miasta pamiątką, tak samo jeleń dla Lublina, brama dla Torunia, ręka dla Brodnicy etc. Mimo to są to herby, sięgające XIV i XIII wieku. Jeżeli dalej wolno miastom używać herbu własnego w miejsce herbu wojewódzkiego, to czy koniecznie trzeba pozatem w polu tarczy umieszczać herb państwowy? Dekret nie mówi tego wyraźnie.

Ale dlaczego ten dodatek „w drodze wyjątku?“ Czyż takim miastom, jak Warszawa, Kraków, Lwów. Poznań jedynie wyjątkowo może minister zezwolić na używanie własnych odwiecznych herbów? Więc miasta mogą rozporządzać same miljonami, mogą utrzymywać tysięczne rzesze robotników, budować wspaniałe gmachy, ale nie wolno im bez pozwolenia używać własnych odwiecznych herbów?

Tak wygląda do tej chwili ustawodawstwo heraldyczne odrodzonej Ojczyzny. Mimo wszelkich braków, jakieśmy tu podnieśli, i jakie w niem jeszcze znaleść można, jedno nie ulega wątpliwości, mianowicie, powolne i coraz większe usuwanie w cień pierwotnej zasady skasowania herbów w Polsce. Życie zaledwo paroletnie dowiodło i ciągle dowodzi, że jest to niemożliwe, że bez herbów istnieć się nie da. Widzieliśmy, że pierwszy wyłom zrobił w tej zasadzie herb państwowy, za nim poszły herby samorządowe a więc wojewódzkie, powiatowe i gminne. Ustawodawca jeszcze nie zdawał sobie widocznie sprawy, że herby wojewódzkie i powiatowe należy dopiero stworzyć, że herby gmin miejskich i wiejskich należy w wielu wypadkach dopiero odszukać, zba-

dać i ustalić. Ważnem jest, że już przyznał im rację bytu. Co więcej, ten sam ustawodawca stwierdził istnienie i potrzebę herbów korporacyjnych, a więc stowarzyszeń, zgromadzeń, cechów etc., czynników, z których niektóre w dawnych czasach herbów własnych nie miały zupełnie.

Brak jeszcze jednego kroku, a uzna się rację bytu również i herbom szlacheckim. Częściowo stało się to już w § o herbach samorządowych i terytorjalnych. Jeżeli bowiem się mówi o samorządzie terytorjalnym, to należy tu rozumieć nietylko województwa i powiaty, nie tylko gminy wiejskie i miejskie, ale również i obszary dworskie, które jak n. p. w Wielkopolsce i na Pomorzu nie należą do gminy wiejskiej, lecz stanowią odrębną jednostkę terytorjalną. Herbem zaś obszaru dworskiego jest tylko herb jego właściciela. Jeżeli jednak właściciel herbu rodowego nie posiada? W myśl ustawy może i ma prawo postawić do Ministra wniosek o nadanie lub zatwierdzenie własnego projektu.

I tu musimy zadać sobie pytanie, czy nie było za czasów królewskich o wiele lepiej, piękniej i moralniej, jeżeli herb zdobywało się za zasługi dla kraju? Herb nosił nie ten, który mógł sobie kupić obszar dworski lub jego resztówkę, ale ten, co miał zasługi za sobą. Sposobem odznaczenia ludzi zasłużonych i dowodem wdzięczności kraju za ich zasługi nie było w Polsce nadawanie orderów, lecz nadawanie herbów. Był to zwyczaj rycerski sięgający bardzo dawnych wieków. Prawda, że do herbu przywiązane były dawniej przywileje, które by dziś istnieć nie mogły, niemniej uważam, że nawet sam herb bez przywilejów odpowiadałby więcej charakterowi narodu polskiego, aniżeli również bez przywilejów istniejące ordery.

Dr. Marjan Gumowski.

LIST DO REDAKCJI „PRZESZŁOŚCI“!

Wielce Szanowna Redakcjo!

W myśl zamierzeń oświatowych „Przeszłości“, zwracam się niniejszem z prośbą o zamieszczenie następującej odezwy na łamach Waszego coraz bardziej poczytnego czasopisma, które powinno się znaleźć zwłaszcza w każdej szkole.

W SPRAWIE SZERZENIA OŚWIATY.

Odezwa i wskazówki.

Wszyscy wiemy, że u nas w rozmaitych dziedzinach życia wciąż jeszcze mniej lub więcej „dziadujemy“, jako że przez tyle lat wyzyskiwano nas, niszczono i obdzierano, przeszkadzając nam nadto w urzeczywistnianiu dobrych pomysłów i rzetelnych chęci, — gdy się takowe objawiały — ku podźwignięciu się z niedoli i wzmożeniu się pod względem kulturalnym. Ale może nie wszystkim jest wiadomo, ile my sami przyczyniamy się do dalszego istnienia odziedzi-

czonej golizny — przez lenistwo, bezmyślność i niedbalstwo, które bardzo często marnują takie rzeczy, jak różne książki, książeczki i książczyny, dzienniki, dodatki do wydawnictw oraz czasopisma tygodniowe, miesięczne i kwartalne — drąc i mnąc i do różnego osobistego, domowego, gospodarskiego lub kupczącego użytku wyrzucając te wytwory umysłu i techniki współczesnej, tak bardzo potrzebne i pożądane w szkołach, zwłaszcza powszechnych, do których uczęszcza przecież najliczniejsza a zarazem najbiedniejsza rzesza dzieci: a w myśl dzisiejszych wymagań co do sposobu nauczania i wogóle według wymagań oświatowych od szkoły nowoczesnej powinna ona być zaopatrzoną w wielość wszelakich, tak zwanych „pomocy naukowych“, wśród których książka i rycina zajmują właśnie najprzedniejsze miejsce.

Tymczasem jednak, przeważnie nawet w wyżej zorganizowanych szkołach, a nie w jakichś tam ustroniach lub „zapadłych kątach“, panuje jeśli nie zupełna, to znaczna golizna pod tym względem, którą prędko w dostatek zamienićby można, gdyby każdy z tych tysięcy ludzi, zaliczających się do inteligencji abonującej pisma i nabywającej książki, nawiązawszy stosunek z którymś z nauczycieli wiejskich lub małomiasteczkowych, przesyłał mu regularnie paczkę, zawierającą ilustracje i wycinki celniejszych artykułów z gazet, a ewentualnie i jakąś pożyteczną książkę. „Łatwo sobie wyobrazić, jaki ożywczy potok spłynąłby wtedy na nasze ugory, ile jasnych chwil miałby nauczyciel wiejski i jego otoczenie, a nawet może i światlejsi gminiacy!“ powiada bardzo słusznie pewien bardzo zabiegliwy oświatowiec. Dzieci, dostawszy obrazki i widoczki, miałyby uprzyjemnione i ożywione lekcje, zwłaszcza w tych przedmiotach, które koniecznie, jak np. geografja uzmysłowienia opisywanych krajów i ludzi wymagają. Do tej roli zaopatrywacza szkół i nauczycieli ludowych w te niezbędne dlań zasoby, powołanym jest z natury rzeczy przedewszystkiem nauczyciel gimnazjalny tem bardziej, iż do tej działalności kulturalno-oświatowej może on zachęcać młodzież wielkomiejską: niechaj ona także się tem zajmuje, by po domach i gdzieindziej nie wyrzucano, nie darto, nie rozpraszano i nie marnowano tego wszystkiego, co zbierane starannie i wysyłane wszędy do najdalszych i najbardziej zapadłych osiedli wiejskich i miejskich będzie tam zawsze cennym i pożądanym darem, przyczyniającym się znacznie do „ukulturalnienia“ bardzo jeszcze pod wieloma względami niekulturalnej i biednej ojczyzny.

OBRAZKI (ryciny), wycięte z dodatków do czasopism lub z luźnych numerów wydawnictw ilustrowanych łatwo powiększą ilość poglądowych pomocy szkolnych, potrzebnych przy nauce prawie każdego przedmiotu. Mogą być one wklejane do kajetów, do książek lub naklejane na tekturę, ewentualnie oprawione w ramki i zawieszane na ścianach.

WIDOKÓWKI (pocztówki) mogą być zależnie od swej treści i wartości bądź rozdawane dzieciom, bądź przeznaczone dla szkoły, bądź też zachowane przez nauczyciela dla powiększenia osobistych jego zbiorów, jakie każdy nau-

czyciel posiadać powinien. Użytek można z nich zrobić rozmaity: oprawiać w ramki i na ścianach zawieszać; grupować według treści i gromadzić takie grupy w teczkach lub w pudełkach odpowiednio oznaczonych, albo grupami na kartony większe naklejać, albo książki niemi ilustrować, naklejając je na białe kartki, wklejone między zadrukowane stronnice.

ARTYKUŁY z dawniejszych dzienników, które nieraz większą mają wartość od najświeższych lub najnowszych, wycinane i zbierane w teczkach, zaopatrzonych w odpowiednie orjentacyjne nagłówki, napisy albo znaki, staną się wnet dla nauczyciela bezcennym zasobem i pełną miłych niespodzianek kopalnią źródłowych wiadomości, zwłaszcza do nauki historji lub do jakichś referatów, odczytów, obchodowych przemówień itp.

Czasopisma z rycinami dla dorosłych i dla dzieci, zebrane w półroczniki lub roczniki, mogą stworzyć zasoby bardzo zaciekawiającej, bo ilustrowanej lektury w środowiskach, które książek nie mają i nabywać nie będą z powodu braku grosza i braku potrzeb umysłowych, nie idących tak daleko.

Niechaj światło dobroczynnej wiedzy, pomnażane w ten sposób przez skrzętność i uczynność, dociera do każdego kąta i zakątka Rzeczypospolitej, której, niestety, wiele jeszcze nie dostaje, aby rzeczywiście była „najjaśniejszą“.

Dr. Stefan Frycz.

Z wielką radością zamieszczamy odezwę p. Dr. St. Frycza, wykładającego historję wychowania na Uniwersytecie Poznańskim. Omawia ona w sposób nader przekonywujący jedną z najważniejszych spraw, dotyczących szerzenia kultury w szerokich warstwach narodu. Pragnąc być pośrednikami między nauczycielstwem i działaczami oświatowymi a ludźmi dobrej woli, rozumiejącymi doniosłość wyżej poruszonej sprawy, będziemy chętnie zamieszczali wszelkie zgłoszenia i wiadomości, dotyczące potrzeb danej szkoły i warunków pracy oświatowej. *Redakcja.*

Poglądy Erazma Glicznera na wychowanie.

Pierwsza książka o wychowaniu, napisana w języku polskim, wyszła z pod pióra Erazma Glicznera - Skrzetuskiego (1535 — 1603), ucznia głośnej szkoły Walentego Trotzendorfa w Złotej Górze. Gliczner wydał nasamprzód na zlecenie Szymona Słuszki książkę Reinharda Lorichiusa pt. „Księgi o wychowaniu i ćwiczeniu każdego przełożonego“, przetłumaczone na język polski przez Stanisława Koszuckiego.

---

[1]) Zważywszy jednak, że Gliczner, pisząc swą książkę, miał dopiero 23 lata, nie mógł oczywiście podać nam jakichś nowych zasad dydaktycznych, gdyż zbyt mało znał życie i pracę w szkole.

Ponieważ jednak dzieło to uwzględniało w poglądach swoich jedynie tylko „sfery najwyższe", miejscami nawet rzeczywistych panujących, oraz z drugiej strony, ponieważ nie było dotychczas w Polsce książki takiej, która dawałaby ludziom przeciętnym przepisy postępowania przy wychowaniu dzieci, przeto Gliczner, chcąc brakowi temu zaradzić, oraz zachęcony sporządzeniem wydania Ksiąg Lorichiusa do napisania własnej pedagogiki, ogłosił w języku polskim dziełko oryginalne pt. „Książki o wychowaniu dzieci, bardzo dobre i potrzebne, z których rodzice ku wychowaniu dzieci swych naukę dołożną wyczerpnąć mogą" (1558).

Jakaż jest treść tego dziełka?

Już z tytułu jego możemy się dowiedzieć, że książkę tę napisał Gliczner nie dla nauczycieli, lecz dla rodziców, albowiem uwagi, w niej zawarte, dotyczą wychowania dzieci od chwili ich urodzenia.

Rodzice — zdaniem autora — winni poważnie zastanowić się nad wychowaniem i przyszłością swoich dzieci; dlatego niechaj usuną od nich zły przykład i „niecudne mowy", otoczą je na każdym kroku miłością i troskliwością oraz dbają o zdrowie ich ciała i duszy. Ostro wystąpił przeciwko utartemu zwyczajowi powierzania dzieci do karmienia mamce, która często „nierządnego przyrodzenia jest, przez co dziecię, gdy jej piersi używa, według natury jej zepsowanej społem i z mlekiem napija się zaraz i złości".

Również nie był Gliczner zwolennikiem zbyt wielkiego kochania i pieszczenia, albowiem psuje to dzieci najwięcej; wszelką zaś złość, zuchwalstwo i rozpustę dzieci zalecał karać jak najsurowiej, choćby nawet „rózgą albo prętem jakim inszym", byleby tylko kara ta wymierzona była „z baczeniem a nie z wielkim gniewem".

Na szczególną zaś uwagę zasługuje aktualne do dzisiaj pytanie, jakie Gliczner sobie zadał: „Co lepiej rodzicom jest: jeśli gdyby syna na nauki do szkoły dali, czyli gdyby w rzemiosło". Zgodnie jednak z poglądami starożytnych, stawiał Gliczner wyżej naukę książkową, jakkolwiek sam z rodu był mieszczaninem. Jak bowiem „żywot wieczny a żywot doczesny między sobą różni są, tak nauka abo nauczony człowiek od rzemieślnika abo od rzemiosła. Ni prze co inszego żaden człowiek nie domówi się ani dostąpi żywota wiecznego, jedno przez pismo a nauki, dlaczego Pan a Stworzyciel nasz, chcąc człowieka do siebie przyciągnąć, a sobie onego pozyskać, zrządził mu pismo, nauki, w których on sam siebie i wolę swą, tudzież zbawienie samego człowieka zatworzyć a obwieścić raczył." Zresztą widzimy to doskonale, „jako rzemieślnicy ci, którzy nic w nauce nie zakusili, są ludzie sprośni, nieobyczajni; tak proste jest ich człowieczeństwo, by niewypolerowane zwierciadło."

Ponieważ zaś synowie uboższej szlachty mogli kształcić się jedynie tylko w służbie dworskiej u magnatów, która była niestety naówczas niczem innem, jak tylko szkołą rozpusty i złych obyczajów, i gdzie nie było „żadnej nauki

jedno zuchwalna bezpieczność i prędkie zepsowanie żywota", przeto — z braku możliwości innego wychowania — zalecał Gliczner rodzicom „zaopatrzyć synów przed wysłaniem ich na dwór w zasady moralności i cnoty, oraz w nieco szkolnej wiedzy."

Naukę radził rozpocząć z dzieckiem jak najwcześniej, „prawie, gdy jeszcze będzie w pieluchach"; lepiej bowiem oddać chłopca „do szkoły, niżeliby miał po polach, ulicach bąki strzelać, albo около innych rzeczy niepotrzebnych siebie zabawiać".

Hołdując zasadom wychowania publicznego, potępił autor tą tak bardzo rozpowszechnioną u nas „edukację prywatną", nazywając to „nieobaczną a jakoby głupią swawolą"; zdaniem jego, taki w domu wychowany chłopiec podobny jest do „żółwia, błotnej jednej bestji, która ledwie kiedy na słońce wychodzi, jedno wszystko w skorupie się swej chowa, a wynidzie li, tedy z trzaskiem; gdy kogo zoczy, do skorupy się wmyka."

Inaczej wychowuje natomiast szkoła publiczna, której wychowankowie „wielce są podobni żołnierstwu albo kozactwu, около się którego na Podolu albo na Ukrainie parają uczciwi a zawołani ludzie, we dnie i w nocy za krew chrześcijańską zastawiając się."

Dobrze postąpi zatem ojciec, jeśli syna swego kształcił będzie w jakiejś szkole lub kolegjum; a „niechaj się nie błaźni, iżeby go doma dawał uczyć, boć żadnego z tego pożytku ani on sam, a syn nie poznają". Oddając zaś syna do szkoły, winien ojciec baczyć na to, aby nauczyciel, któremu powierza się kształcenie dzieci, był przedewszystkiem dobrym chrześcijaninem, dalej uczonym i bez „złych a grubych obyczajów". Co do chłopca, zalecał Gliczner, aby przez cały czas nauki pozostawał przy jednym nauczycielu, i tak długo kształcił się u niego, dopóki nie „okaże się jakaś godność", czyli dopóki nie poczyni w naukach odpowiednich postępów.

Cóż jednak uczynić, aby młodzieniec wyrósł na człowieka „porządnego" i pożytecznego, — „czy oddać go na kapłaństwo czy ożenić?" — Trudno rozstrzygnąć, albowiem tak kapłaństwo jak i małżeństwo „są stany wielkie, zacne a bardzo dobre". Ponieważ jednak większość naszej młodzieży wstępuje do stanu duchownego nie z powołania, lecz z pobudek czysto materialnych, przeto — zdaniem Glicznera — „ojciec syna swego niechajby na małżeństwo namawiał, a onemu małżonkę zrządził, uchodząc niepokoju". Wybierając mu zaś żonę, powinien ojciec zważać przedewszystkiem na to, aby była mu równą i cnotliwą.

Dziełko to zamknął Gliczner wezwaniem do ojców, aby synów swoich po ich „postanowieniu" nadal wspomagali radą i pomocą, albowiem „jako Pan Bóg przy swoich wiernych aż do ostatecznego dnia i czasu trwa i trwać będzie, tak też ojciec przy synie ma zawsze z pracą a pieczołowaniem być". Taka byłaby zatem treść pierwszego dziełka oryginalnie po polsku o wychowaniu na-

pisanego. Przeprowadzając szczegółową jego analizę, stwierdzić musimy, że jakkolwiek w wypowiedzianych przez siebie poglądach wzorował się Gliczner na Erazmie z Rotterdamu i Lorichiusie oraz z drugiej strony, jakkolwiek pominął w niem nasz autor zupełnie kwestję wychowania fizycznego oraz sprawy dydaktyczne[1]), które uwzględniałyby urządzenie planu nauk i metody uczenia, napisał nam jednak książkę rozsądną i trzeźwą, która bynajmniej nie stoi niżej przeciętnych prac pedagogicznych ówczesnej literatury europejskiej, odznaczając się przytem niezwykle barwnym językiem, stylem pełnym temperamentu i obfitemi szczegółami z ówczesnej praktyki pedagogicznej w Polsce.

M. Mituła.

Niemiecki handel murzynami w w. 17.

W r. 1682 do Złotego Wybrzeża przybiły dwa okazałe okręty żaglowe. Poranny wiatr wesoło rozdymał 6 biało-czerwonych flag, umieszczonych na trzech masztach każdego statku. Przez otwory w bokach groźnie wyzierały ku brzegowi 32 armaty brandenburskie „Churprintz'a“ i 16 dział „Moriana“. Wysłaniec elektora major Groeben, przybyły z 40 żołnierzami, orkiestrą, 2 kapralami, sierżantem i podchorążym miał rozkaz założenia w Afryce fortecy i nawiązania handlu z murzynami. Major odszukał na brzegu oceanu pagórek, mający wielką wartość strategiczną. Na obu statkach panowało wielkie ożywienie; marynarze po ukończeniu pracy zostali ustawieni w szeregach na pokładzie. Major wygłosił do nich przemówienie, oświadczając, że muszą wykonać wolę Najjaśniejszego Elektora, utworzyć osiedle handlowe w Afryce wbrew zazdrości i nienawiści Holendrów, z którymi wypadnie energicznie walczyć. Jego Elektorska Mość nie zamierza nikogo trzymać w Afryce gwałtem przez dłuższy czas. Kto zechce tu dłużej pozostać jako ochotnik, niech wystąpi z szeregu i złoży oświadczenie. Wszyscy żołnierze oświadczyli, że chętnie zostaną, jeśli otrzymają wyższy żołd i od czasu do czasu urlopy. Władza zgodziła się na to. Tymczasem na brzegu ukazali się wodzowie murzyńscy z tłumami mężczyzn, kobiet i dzieci, przyglądających się statkom i wszystkim czynnościom białych. Na okrętach zagrzmiała muzyka, murzyni rozpoczęli skoki, tańce, ożywioną gestykulację i gwałtowną wymianę zdań. Od statków odbiły łodzie z oficerami, żołnierzami i 2 inżynierami. Wieziono topory, piły, młoty, gwoździe i namioty. Major powiewał dużym sztandarem z herbem elektora. Raptem rozległy się tak potężne strzały armatnie, że murzyni w przerażeniu runęli na ziemię i leżeli jak nieżywi; inni rzucili się do ucieczki i zatrzymali się wówczas, gdy dymy sę rozpłynęły. Murzynów najbardziej interesowały trąby i bębny. Żołnierze również ze zdumieniem przyglądali się czarnym. „Ależ to prawdziwe djabły! — Czy ty się nie wstydzisz, drabie, włóczyć się tu całkiem nago?“, zawołał jeden z żołnierzy, gdy czarny zaczął obmacywać białe guziki jego uniformu. Nie rozumiejący nic murzyn, dawał znaki, że chciałby mieć takie guziki, a żołnierz wrzasnął: „Ręce precz!“ i tak kopnął go nogą, że ten rzucił się z wyciem do ucieczki, trzymając się rękami za obrażoną część ciała; zagrzamiały salwy żołdackiego śmiechu. Kiedy zapytano murzynów po portugalsku, gdzie są wodzowie, otrzymano odpowiedź, że na pobliskiej górze. Ruszono tędy przy dźwiękach muzyki; czarni towarzyszyli tańcząc, śpiewając i paplając. Wodzowie stali przed chatą i nie wykazywali żadnego lęku. Major polecił inżynierom obejrzeć starannie górę i wyznaczyć miejsce, gdzie mają stanąć forty, wały i płoty.

Rozmowa z wodzami była krótka i łatwa. Zaproponowano im poddać się opiece Elektora i handlować tylko z nim. Wmówiono w nich, że wielki władca, przebywający za

morzami, będzie bronił czarnych przeciw wszelkim wrogom, zwłaszcza przeciwko okrutnym Holendrom, pod warunkiem okazania pomocy przy budowie fortecy, co należy zacząć jeszcze dziś. Gdy Niemcy chcieli odejść, wodzowie jednym głosem zawołali: „Ależ wpierw napić się! Dajcie prezenty!“ Już portugalczycy przyzwyczaili murzynów do zapijania każdej umowy i do otrzymywania podarków. Major odpowiedział czarnym: „Jutro, gdy forteca zostanie wzniesiona i działa wciągnięte na mury, podpiszemy umowę, poczęstujemy was ognistą wodą i obdarujemy prezentami“. Ta odpowiedź zadowoliła wodzów, którzy rozkazali swoim dopomagać Niemcom przy budowie twierdzy. Wspólnemi siłami tegoż dnia wciągnięto na pagórek sześć armat, strzelających 3 funtowemi pociskami. Bez pomocy murzynów nie można byłoby tego dokonać, tak stromem było wzgórze i tak nierówna była droga. Wzniesiono też wały i postawiono namiot, w którym major, nowy władca tej ziemi afrykańskiej, spędził pierwszą noc.

Następnego dnia, 1 stycznia 1683, kapitan Voss, Holender w służbie brandenburskiej, przyniósł sztandar elektora i przy dźwiękach orkiestry wciągnął go na maszt, umocowany przez żołnierzy na wzgórzu. Żołnierze prezentowali broń. Z fortów zagrzmiało 5 strzałów armatnich; oba statki dały również po pięć strzałów. W ten sposób witano Nowy Rok i sztandar, zwycięsko powiewający. Kanonada przejęła tubylców takiem zdumieniem, że jeden z wodzów oświadczył, że według niego wielki władca z za morza jest znacznie potężniejszy od Holendrów, którzy nie rozporządzają tyloma grzmotami i nie mają takich ładnych rzeczy. Major obwieścił donośnym głosem: „W imieniu najjaśniejszego Elektora Brandenburskiego obejmuję to wzgórze w posiadanie i daje mu nazwę Góry Wielkiego Fryderyka“. Żołnierze rozpoczęli budowę swych koszar, a murzyni pod kierunkiem inżynierów wznosili długi barak dla oficerów. Major zażądał od czarnych wodzów złożenia przysięgi wierności. Chętnie zgodzili się na to, lecz przypomnieli o wódce. Holender, znający ich gust, domieszał do wódki sporo prochu i vermutu. Wodzowie błyszczącym chciwie wzrokiem przyglądali się tej operacji i mlaskali językami; złożyli przysięgę wzamian za obietnicę majora nie łapać i nie sprzedawać do niewoli ich poddanych; poczem major odważnie łyknął ohydnego napoju i oddał puhar wodzom, którzy wchłonęli ile mogli, a drobne resztki dali podwładnym na zwilżenie języka, co oznaczało, że i tamci składają przysięgę.

Nadeszła tak oczekiwana chwila rozdania prezentów, przysłanych przez elektora. Wodzowie dostali kielichy pozłacane z pokrywą i portret berlińskiego władcy. Reszta murzynów otrzymała sznury paciorek ze szkła i płaty materyj barwnych. Widząc to, wodzowie zażądali dla siebie takich samych podarków. Wszyscy obdarowani skakali z radości jak dzieci, owijali się w perkale, przetykali perłami koafjury, wkładali nawet paciorki do nosa i uszu. Chciwości ich zaspokoić nie było można, wciąż się tłoczyli i błagali o nowe cacka, aż zniecierpliwiony kapitan tak palnął w twarz jednego z nich, że rozległo się echo. To poskutkowało; można było dalej spokojnie budować fort. Po kilka tygodniach były ukończone wały, ostrokoły i budynki. Major starannie odrysował fortecę i odpłynął wiosną 1683 roku na statku „Morian“, by złożyć elektorowi szczegółowe sprawozdanie o jego posiadłościach na czarnym lądzie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Minęło dwa lata. Działo się to w roku 1685 w wiosce murzyńskiej w pobliżu kolonji niemieckiej Grossfriedrichsburg przy zatoce gwinejskiej. Obszerny plac okalały liczne okrągłe chaty gliniane, okryte olrzymiemi liśćmi palmowemi. Wioskę otaczał wysoki żywopłot z krzewów kolczastych dla obrony przed zwierzętami i wrogiemi plemionami. Tu mieszkał królik, władca nieograniczony, pan życia i śmierci swych poddanych. Pewnego dnia, w południe, gdy zwykle wskutek nieznośnego upału wszystko bywało pogrążone w bezruchu i milczeniu, nagle wszczęły się tumult, wrzaski, szlochy, jęki. Plac napełniły tłumy czarnych kobiet, dzieci i mężczyzn, głośno wyrażających swą rozpacz. Mężczyźni po dwóch skuci kajdanami, byli

ustawieni w szeregi i oglądani przez urzędników i lekarza „Afrykańskiej Kompanji Elektora Brandenburskiego". Czarny król, uzbrojony w bat ze skóry hippopotama, oprowadzał białych kupców i głośno, wymownie zachwalał im żywy towar, wskazując na muskulaturę, każąc szeroko otwierać usta, by nabywcy mogli się przekonać o wieku niewolników. Jeśli który z nich ociągał się z wykonaniem rozkazu, okrutne uderzenie batem czyniło go posłusznym woli królewskiej. Niemcy mało zważali na jego gadanie i sami badali murzynów, usuwając słabszych, oraz tych, którym gorący piasek pustyni popsuł nogi. Nie zważano wcale na więzy rodzinne, matki odrywano od dzieci, mężów od żon. Gdy jęki i zawodzenia tych nieszczęśliwych zaczęły działać nawet na białych, kazano niemieckim żołnierzom, przeznaczonym do eskortowania niewolników, bić w bębny i trąbić, by zagłuszyć krzyki rozpaczy. Królikowi uiszczono należność w postaci szklanych pereł i barwnych tkanin. Niewolnikom smarowano prawę ramię olejem palmowym i stemplowano je rozpaloną pieczęcią z literami C — AB — C Churfürstlich Afrikanisch - Brandenburgische Compagnie), poczem każdych dwu lub trzech łączono łańcuchami i setkami odprowadzano ku wybrzeżu; w drodze pilnował ich oddział żołnierzy pod kierunkiem niesionego w lektyce doktora Oettingera, któremu zawdzięczamy ten opis. Na dany znak od okrętu Elektora odbijały łodzie, by zabrać ładunek. Część czarnych z tępą pokorą dawała się ulokować w łodziach, inni natomiast przeraźliwie wyli ze zgrozy. Kobiety rozdzierały powietrze tak przeraźliwemi krzykami, że orkiestra wojskowa z wysiłkiem mogła je jako tako zagłuszyć. Cóż mogło wzruszyć białych, cieszących się z olbrzymich zysków! Wszak ten handel przynosił 85%! Wreszcie statek odpłynął, unosząc 738 niewolników i ich białych władców, którzy się cieszyli, że uchodzą żywo z przeklętej krainy pogan, gdzie byli prażeni bezlitośnem słońcem, gryzieni przez moskity i inne robactwo, zlewani strugami deszczów tropikalnych.

Wielki Elektor Brandenburski był skrzętnym i zapobiegliwym gospodarzem; to on był założycielem towarzystwa akcyjnego dla handlu murzynami. Sam i liczni jego ministrowie i doradcy byli wspólnikami. Na wyspie duńskiej św. Tomasza w Indjach Zach. Elektor wydzierżawił obszerny plac, na którym rozmieszczano przywiezionych na jego statkach murzynów. Tu przybywali właściciele plantacyj tytoniu i trzciny cukrowej i nabywali ludzkie bydło robocze.

W kolonjach niemieckich w. XIX i XX nie handlowano niewolnikami, lecz o postępowaniu z murzynami świadczą procesy, które 30 lat temu wytoczono w Niemczech oficerom niemieckim z Afryki. Jedni z nich, urządzając polowanie na drapieżne zwierzęta, umieszczali w puszczy na mrowisku związane dzieci, które żywcem pożerane przez termity, swemi wrzaskami nęciły bestje krwiożercze. Inni odbierali murzynom kobiety, a w razie oporu mężów i braci, rozbijali kolbami czaszki i dłubali bagnetami mózg. Za te potworności nawet sądy niemieckie karały. A ileż podobnych zbrodni pozostało w ukryciu! Wszak od Togo czy Kameruna do Berlina droga daleka... Odbierając Niemcom kolonje podczas wojny światowej, zwycięscy zasłużyli się sprawie ludzkości.

P. Ganżyński.

Wśród czasopism.

(Projekt sojuszu francusko-niemieckiego w r. 1848)

W niemieckiem Czasopiśmie Historycznem (t. 142, zesz. 1) znajdujemy pracę E. Marcksa o mocarstwach europejskich i rewolucji 1848 r. Interesującą i jedyną w swym rodzaju jest propozycja sojuszu niem. — francuskiego, uczyniona przez ministra Spr. Zagr., Arnima, byłego ambasadora niem. w Paryżu. Będąc dumnym Prusakiem i pragnąc dać Prusom naczelne stanowisko w nowych rewolucyjnych i liberalnych Niemczech, porozumiewa

się on z Lamartinem, szefem rządu paryskiego, i ambasadorem franc. w Berlinie Circourtem. Sojusz ma być wymierzony przeciw Rosji Mikołaja I, który był postrachem nowej Europy. W tym celu należało dać wolność Szlezwigowi i Holstynji i rzucić hasło wyzwolenia Polski. Krzyżową wyprawę przeciw Rosji poparłaby Anglja. Utworzyłby się przeciw Moskwie front ogólnoeuropejski. To warte ofiary ze strony Niemiec w postaci Polaków poznańskich. Pomimo, że król Fryderyk Wilhelm IV sprzeciwiał się zarówno wojnie ze swym szwagrem Mikołajem I, jak również ustępstwom, poczynionym przezBerlin dla Polaków, Armin zaproponował Circourtowi sojusz zbrojny 31 marca. Lamartine, jako żyrondysta, odrzucił propozycję w obawie przed wszechwładztwem jakobinów, którzy zagarnęliby władzę w razie wojny i wciągnęliby Francję do walk rewolucyjnych na całym terenie Europy, jak podczas Wielkiej Rewolucji. Ta fantastyka arminowskiego projektu polskiej wyprawy krzyżowej, politycznie jałowa, z gruntu niemożliwa, już wkrótce całkiem upada, gdyż w kwietniu rozpoczyna się walka krwawa Polaków z Niemcami poznańskimi, którzy rozpoczynają obronę swej narodowości i obalają na całym obszarze przewagę Polaków. Oni to rzucają hasło narodowej siły i przeciwstawiają je czynnikom międzynarodowym, które chciały ich zaprzedać. Oni wysuwają ideę wojny narodowej przeciwko kosmolityczno-pacyfistycznym mrzonkom, które w gruncie rzeczy nie prowadziły do niczego innego jak tylko do wojny o zasady, do wojny światowej. Francuscy radykali jeszcze żarliwiej chwycili za polski sztandar, a gdy Prusy nakazały wybory do frankfurckiego parlamentu z niemieckich okręgów prowincji poznańskiej i oddzieliły je od okręgów polskich, to nawet znajdujący się w tarapatach rząd francuski dał wyraz swej niechęci. Stosunki między Francją a Prusami, wczoraj jeszcze zmierzające do przyjaźni, w maju zagrażały przeobrażeniem się w nastrój wrogi. Prusy ugłaskały Lamartina, lecz właściwie nie uczyniły nic. W Paryżu Jakobini wszczęli powstanie pod hasłem wyzwolenia Polski, lecz 15 maja zostało ono stłumione. 24 maja w parlamencie Lamartine i posłowie mówią po raz ostatni o braterstwie z Niemcami i o wolności Polski i Włoch. To było tylko parawanem, za którym ukrywam odwrot. Francja pozostała bierną, a jej miłość do Polaków platoniczną. Sen marcowy pierzchnął. O pojednaniu ludów mówiono tylko w manifestach i na zebraniach. Nowy minister Spr. Zagr. Bastide pogrzebał we Francji politykę polonofilską i prusofilską. W połowie czerwca rząd oświadczył komisji spraw zagr. izby posłów, że dla Francji jest niebezpiecznem zjednoczenie Niemiec. Odtąd co parę tygodni minister z naciskiem powtarza, że niemiecki nacjonalizm i dążenia do zjednoczenia 40 miljonów Niemców są groźbą dla Francji. Cavaignac, prezydent ówczesny, dodawał, że należy wyciągnąć rękę ku Rosji. Nastroje te szerzyły się jeszcze wcześniej, po pogromie przez Cavaignaca powstania robotników 23-27 czerwca. Tiers i jego zwolennicy zaczęli napomykać o Renie jako pożądanej granicy. Pierwszy Minister Spr. Zagr. Ludwika Napoleona w kwietniu 1849 podkreśl. konieczność zabezbieczenia Francji, zaznacza niebezpieczeństwo dla Alzacji niemieckiego parcia do zdobycia wszystkich terytorjów, na których brzmi mowa niemiecka. Wzmocniona burżuazja francuska zgodnie z duchem dziejów swego narodu, przeciwstawiła się stanowczo burżuazji odradzających się Niemiec. Rosja i Anglja również podejrzliwie traktowały niemieckie plany. Ros. kanclers Nosselrode dwa razy oświadczył angielskiemu ambasadorowi w Berlinie, że nadmierny wzrost Niemiec nie powinien mieć miejsca. Tyczasem kosztem Polaków odbywało się wewnętrzne pojednanie Niemców w parlamencie frankfurckim, który 24—26 lipca odrzuca skargi Polaków na podział ich prowincji na obszary narodowościowe i przyjmuje całkowicie stronę niemieckich bojowników na Wschodzie. Rewolucja traci grunt pod nogami.

Tak się przedstawia w streszczeniu ta część pracy Marksa, która dotyczy Francji i Polski. Cechuje ją zwykła u historyków niemieckich ślepota i nienawiść względem Polski. Należy zaznaczyć, że elaborat swój Marks wygłosił 30. I. 1930 w Pruskiej Akademji Umiejętności.

Z pamiętnika rosyjskiego oficera-Polaka.

Pomału przyzwyczaiłem się do korpusu, zahartowałem się i wytrzymałem długoletnią i niewdzięczną karjerę wojskową. Wpierw drżałem przed wszelką władzą, nawet i teraz unikam zetknięcia się z naczelnikami samowładnymi. Zapewne dzięki temu tylko uniknęłem licznych przykrości. W korpusie z powodzeniem maszerowałem i robiłem karabinem, głos miałem odpowiednio donośny i wrzaskliwy. Co rok otrzymywałem dyplomy z odznaczeniem i książki jako nagrodę przy promocji. Ponieważ program był znacznie szczuplejszy niż w gimnazjum, więc właściwie nie miałem czego się uczyć i nie rozwinąłem się umysłowo. Lata dalsze jako oficer spędziłem w zapadłych dziurach i tylko szczęśliwy traf uratował mię przed zidjoceniem, lecz o tem potem.

Klimat Petersburga działał szkodliwie; miałem obrzęknięte gruczoły na szyi, nie mogłem nawet zapiąć kołnierza, zimą leżałem przeważnie w szpitalu, gdzie lekarz traktował mię życzliwie, o czem nie zapomnę do końca życia. Czystość, staranna opieka, nawet komfort w szpitalu tak nęciły, że przebywałem tam b. chętnie. Tylko tam czułem się znowu człowiekiem i mogłem korzystać z bardzo porządnej bibljoteki. Po Nowym Roku zostałem przeniesiony do oddziału grenadjerów naszego korpusu; zawdzięczam tę łaskę zapewne inspektorowi Forcmanowi. Względem kadetów grenadjerów nie stosowano rózg, któremi za najmniejsze uchybienia chłostano w innych oddziałach korpusu. Naczelnikiem naszym został bardzo lubiany finlandczyk Karol Peterson, człowiek niezwykle ludzki. Jako doskonały służbista, posiadający bardzo wysoki wzrost, brałem udział w zmianie warty w obecności cara. Była to wielka uroczystość. Jechaliśmy z korpusu w karetach; po ceremonji traktowano doskonałym śniadaniem, potem puszczano na miasto, bez opiekunów. 18 grudnia 1837 r. postanowiliśmy skorzystać z takiego urlopu i w kole kolegów — Polaków spędzić pierwszy dzień polskich Świąt Boż. Nar. Kadeci Maciejewski, Dziekoński i Walewski nie mogli przyjść na zamówioną w niemieckiej restauracji kolację, więc z Maciejewskim zabrałem się do uczty; opróżniliśmy butelkę wina, które uderzyło mi do głowy, tańczyliśmy, śpiewaliśmy, krzyczeliśmy. Zacny Niemiec ledwo zdołał wyprawić nas na dorożce. Meldowanie się wracających z urlopu odbywało się uroczyście; musieliśmy maszerować przed dyżurnym kapitanem, a potem przed oficerem naszego oddziału. Trzeba było przed nimi dziarsko maszerować i wygłaszać sakramentalne formułki. Pierwsza próba powiodła się mi, lecz drugi oficer, słuchając mego meldunku, kazał chuchnąć na siebie. Odrazu wytrzeźwiałem z przerażenia. Na nic się nie zdały moje przepraszania i objaśnienia; pomaszerowałem do aresztu. Prawie cała noc przeminęła we łzach, czekałem jaknajgorszych skutków tak mile spędzonego wieczorku, obawiałem się, by nie wykryto, że nie byłem u hr. Łubieńskiego, jak podał[em] do zapisania w księdze urlopowanych, i by mię za kłamstwo nie przeniesiono do jun[kró]w. 4 dni trzymano mię w karcerze, lecz kazano przychodzić na lekcje. Gdy odpowiadałem z geografji na egzaminie półrocznym, wszedł Dyrektor — Generał i groźnie spojrzał na mnie. Krew zastygła w mych żyłach, lecz odpowiadałem dobrze. Na 5 dzień zawołano mię do mego oddziału, który stał na baczność ze wszystkimi oficerami.

Komendant oświadczył, że za mój występek zmniejszono mi o 2 jedynki stopień za sprawowanie się. Przezacny Peterson dodał, że żałuje mię, i nie wątpi, że to się nie powtórzy. Często modliłem się za tego poczciwca. W r. 1838 po złożeniu ostatecznych egzaminów zostałem podchorążym. Mogłem według swego uznania wybrać pułk piechoty i miasto, w którem chciałbym służyć. Mój przyjaciel Maciejewski i ja wybraliśmy Dnieprzański pułk, stojący załogą w Warszawie.

---

*) Patrz Nr. 12 z r. 1930.

Myśli historyków o dziejach i o dziejopisarstwie.

Butler, prof. Kolumbijskiego Uniw: „Kiedy ktoś twierdzi, że jest wolnym od wszelkich więzów (trammel) przeszłości, świadczy o własnym obłędzie i spro- wadza siebie do poziomu umysłowego niższych zwierząt. Podobna myśl ma chyba jedynie ten sens, że można czynić odkrycia i objaśnienia w przyrodzie i życiu ludzkiem, przyjmując, że przedtem nie odbyły się żadne procesy, że nic nie zaszło.

Człowiek rozsądny będzie poszukiwał w dziejach nauki, by oszczędzić so- bie przykrych doświadczeń, by nie czynić tego, co się okazało już bezużytecz- nem, szkodliwem (bezmyślnem).

Macaulay: „Historyk opowiada o wydarzeniach prawdziwych lub podaje fałsze. W ostatnim wypadku nie jest historykiem. Gdy odtwarza prawdę, nie może rozwinąć swych zdolności, ponieważ prawda jest jedyną i wszyscy, którzy o niej opowiadają, powinni czynić to jednakowo".

UNIWERSYTETY AMERYKAŃSKIE.

W Nr. 7. „Wszechświatu" p. Szczemowski (fizyk) opowiada o Uniwersy- tecie Chicagowskim, założonym przez Rockefellera i mającym obecnie mienie wartości 60 mil. dolarów. Gmachy uniwersyteckie budowane są niezbyt sta- rannie, by po 30—40 latach mogły być rozwalone i zastąpione przez nowe. Próżność bogaczy pcha ich do wydawania wielkich sum na wznoszenie budowli, którym są nadawane nazwiska ofiarodawców; natomiast znacznie trudniej uzy- skać pieniędzy na konserwację gmachów i pensje personelu naukowego. Woź- nych jest mało. Studenci muszą brać udział w ćwiczeniach sportowych. Uni- wersytet posiada ogromny gmach sportowy, pływalnie, boiska base ballowe i fo- ballowe, korty tenisowe itp. Pływanie jest obowiązkowe dla wszystkich studen- tów, którzy muszą składać z tego egzaminy. Dobry sportowiec może nieszcze- gólnie się uczyć. Jesienne rozgrywki footballowe są to wielkie uroczystości uni- wersyteckie w obecności 100.000 widzów. Football amerykański jest bardzo brutalny; o piłkę są staczane zawzięte walki, kończące się prawie zawsze poła- maniem rąk, nóg, rozbiciem głowy itp. Widzowie podniecają walczących okrzykami.

Ceny biletów dochodzą do 3 dolarów, więc zyski są niemałe. Pozatem uniwersytetom zależy na tem, aby ich zespoły wygrywały, gdyż w szerokich warstwach publiczności sądzi się o wartości uniwersytetu z jego zespołu footbal- lowego, od tego zależy liczba studentów i ofiarodawców. Z powodu wysokich opłat — do 100 dolarów za trymestr studenci celem zarobku podejmują się każdej pracy. Wielu jest kelnerami w jadłodajniach, szoferami, roznosicielami paczek, pomywaczami i t. d. Uniwersytet posiada własny budynek teatralny i własny kościół. W dziedzinie fizyki wydajność naukowa amerykańska jest obecnie nieco mniejsza od niemieckiej lub angielskiej, lecz w krótkim czasie Amerykanie zajmą czołowe miejsce.

Nowe książki.

W. Gąsiorowski. Wojsko polskie we Francji. 10 zł. — W. Łoziński. Prawem i Lewem. 2 t. 50 zł. — Zajączkowski. Dzieje Litwy. 3 zł. — Żeligowski. Wojna w r. 1920 10 zł. — F. Hoesick. Goethe. — Mereżkowski. Napoleon. 32 zł. — J. Kisielewski. Światła w mroku. 50 lat pracy Tow. Czytelni Ludowych 10 zł. — S. Truchim. Korona- cje polskich królów. 3.60 zł.